

Relacja p. "Leńskiego"

Pochodzę z południowej Litwy kowieńskiej, z okolic miast Łoździeje-Olita. Z lat 40 - 41 pamiętam wkroczenie armii radzieckiej, która napływała do nas stopniowo. Najpierw w postaci baz wojskowych, taka baza była np. w Olicie; potem tego wojska było coraz więcej. W mieście powiatowym Łoździeje obserwowaliśmy ogromne ilości ciężarówek, małych, półtonowych, z dużą ilością wojska radzieckiego, czego nigdy przedtem nie widzieliśmy. Ważnym wydarzeniem w moim życiu było aresztowanie i osądzenie mego ojca w maju 1941 roku, za niedostarczenie obowiązkowych dostaw dla państwa i ukrycie materiału nasiennego, po to, żeby było czym zasiać pola. Był właścicielem dosyć dużego gospodarstwa, posiadał 36 ha własnych gruntów. Reszta to były grunty jego siostr. Skomesowane razem stanowiły dość znaczne gospodarstwo. W czasie rewizji znaleziono zboże przeznaczone na siew i wytoczono mu z tego powodu sprawę jako szkodnikowi gospodarczemu, który ukrywa zboże przed władzą radziecką i nie chce go oddać państwu. Został za to skazany na 10 lat więzienia i był uwięziony w mieście Mariampol na zachodniej Litwie. Aresztowanie ojca było 12 maja 1941 roku.

Natomiast ja z rodziną, z matką i dwoma siostrami, trzema ciotkami i babką - zostałem wywieziony 14 czerwca 1941 roku.

Odbywało się to tak, jak i wszędzie gdzie indziej, wojskowi i jeden umundurowany milicjant weszli do mieszkania, przeprowadzili rewizję; potem zwołali wszystkich i zgromadzili w jednym pokoju, gdzie odczytano uchwałę Rady Ministrów Litewskiej Republiki Radzieckiej o przesiedleniu - tak to się nazywało - rodziny mego ojca do innego okręgu. Nie było powiedziane dołąd. W czasie rewizji znaleziono jakieś myśliwskie artykuły mego ojca - trochę śrutu, trochę prochu, urządzenie do nabijania naboju. Z tego zrobiono oczywiście wielki problem, spisano protokoły. Następnie, w ciągu pół godziny, czy godziny - nie pamiętam, kazano nam się zebrać i załadować rzeczy na ciężarówkę. Nie pamiętam czy były jakieś ograniczenia w zabieraniu takich czy innych rzeczy, ale czy można było zabrać w ciągu pół godziny? Pojechaliśmy tą ciężar-

x rówką do najbliższej stacji kolejowej, już pod strażą i tam zostaliśmy załadowani do wagonu towarowego. Było w tym wagonie jeszcze kilka innych rodzin - w sumie około dwudziestu pięciu osób z czterech rodzin. Było to 14 czerwca. Nasza babcia została zabrana do szpitala jeszcze na tej początkowej stacji, zachorowała na serce i, jak potem się dowiedzieliśmy, na początku lipca 41 r. zmarła w szpitalu w Mariampolu. W nocy z 16 na 17 czerwca ten tzw. "eszalon" /transport/ ruszył w kierunku Kowna i przez Kowno, Wilno dotarliśmy rano 19 czerwca do Nowej Wilejki. W nocy z 19 na 20 czerwca nastąpiło w Nowej Wilejce oddzielenie mężczyzn od rodzin. Nasz ojciec na szczęście nie był z nami, bo przebywał w tym czasie w więzieniu. Lecz inne rodziny w naszym wagonie posiadały w swym składzie mężczyzn i z jednej z nich wyrwano ojca i najstarszego syna - jak później dowiedzieliśmy się - należących do Litewskiej Partii Narodowej. Wyprowadzono ich z naszego wagonu i umieszczono w sąsiednim pociągu, który pojechał w innym kierunku. Rodziny tych ludzi już nie zobaczyły.

Już po wojnie w 47 roku w Wilnie, spotkałem Polaka, który był w tym eszalonie w Nowej Wilejce razem z mężczyznami i wrócił, przetrwał tam wojnę. Opowiadał mi, że ci mężczyźni zostali wywiezieni w okolice Kańska za Krasnojarskiem, przy głównej magistrali syberyjskiej. Trafili tam do obozu, który nazywał się Rzeszoty. Tam po przywiezieniu wytaczono im procesy karne i zostali skazani na różne wyroki. Pracowali przy wyrębie lasu. Wielu mężczyzn zmarło z powodu wycieńczenia, głodu, złego stanu zdrowia - tylko niektórzy, silniejsi, przetrwali. Ten mój znajomy, który przetrwał obóz w Rzeszotach znał niektórych mężczyzn z rodzin, z którymi ja przebywałem na zesłaniu.

Z Nowej Wilejki jechaliśmy, przez Mińsk i Tułę. W Tułe, rano 22 czerwca, w niedzielę, dowiedzieliśmy się - przez zakratowane okna wagonu - od czytającego gazetę oficera naszego konwoju, że wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Potem nasz pociąg jechał coraz wolniej, dlatego że tory były zajęte przez wojsko, które ściągano ze

wschodu na zachód. Podróż trwała około trzech tygodni. Około 10 lipca /może to być 8 lub 9/ wyładowano nas na stacji Bijsk w Ałtajskim Kraju. Jest to miasto u zbiegu dwóch rzek: Biji i Katunia, które tworzą, poniżej Bijska, rzekę Ob. Stamtąd zostaliśmy przewiezieni ciężarówkami w głąb Ałtajskiego Kraju. Z ciężarówek zostaliśmy przeładowani na furmanki i jeszcze dwa dni jechaliśmy furmankami, aż trafiliśmy do górskiej, lecz jeszcze stepowej, części Ałtajskiego Kraju. Dalej, w kierunku wschodnim, ku granicy chińskiej, były widoczne coraz wyższe góry, ośnieżone, a poniżej granicy śniegów pokryte lasami. Myśmy trafili jeszcze do tej części, która nie była zalesiona. Było to naszym dużym utrapieniem, bo były wielkie kłopoty z opałem, nie było żadnego drewna. Jedynie "kiziaki" - to jest wysuszony nawóz krowi - stanowiły opał w okresie zimy. Umieszczono nas w Swietleńskim mięsno-mlecznym sowchozie - tak to brzmi w tłumaczeniu polskim - na Czeremszańskiej Fermie. To była mała wioseczka w kotlinie górskiej, nad rzeczką, gdzie było kilkanaście budynków drewnianych, a pośrodku, na placu, stała szkoła, również drewniana, w której właśnie umieszczono zesłańców.

Mieszkaliśmy, cztery rodziny, w pokoju o powierzchni mniej więcej 25-30 metrów kwadratowych. Mieszkaliśmy tam przez całą zimę z 41 na 42 rok - zresztą bardzo mroźną, mrozy dochodziły do 40 i więcej stopni. Dorośli zaraz po przyjeździe musieli pójść do pracy. Praca była obowiązkowa od 13 lat do - górnej granicy nie pamiętam, bo w naszej rodzinie nie było nikogo starszego. Przypuszczam, że ta górna granica to było 60 albo 65 lat. Wszyscy zdrowi Litwini i Polacy byli wygnani - tak można powiedzieć - do prac polowych, do koszenia trawy, do zbioru siana, a później zbóż - dla wielkich stad bydła, jakie były w tym sowchozie. Natomiast osoby schorowane i bardzo młode - trzynasto- czternastoletnie - pracowały przy produkcji "kiziaka". W zagrodach, w których w zimie stało bydło, kobiety nogami mieszały z wodą ten krowi kał i potem, po dobrym zamieszaniu, ładowa-

ło się do odpowiednich, drewnianych form. Bardzo ciężkie formy wynosiło się na łąkę i tam się wyrzucało te cegły, z tego nawozu. To się suszyło, przewracało i później układało w kopczyki, tak jak u nas zwykle układano torf. Ja, jako jeszcze nie posiadający tych 13 lat - miałem około 10 lat - musiałem gotować obiady i zdobywać opał do ich zagotowania. Gdy mama ze starszą siostrą wracała z pracy - obiad musiał być przygotowany. Była jeszcze młodsza siostra, która mi pomagała w tym gotowaniu obiadów. To się odbywało w ten sposób, że na 2-3 cegłach stawiało się garnki, na podwórzu przed tą szkołą. Zbierało się różne budyła nad potokiem albo się szło na szczyty gór, łupać czy rąbać szczątki pni drzew, które kiedyś tam rosły. Były to szalenie twarde pnie - prawdopodobnie były tam kiedyś lasy modrzewiowe - i bardzo dobrze się nimi paliło pod tymi garnkami.

Tak minęło lato, jesień i zima, już w bardzo ciężkich warunkach. Za swoje pieniądze, zarobione przez starszych, dostawaliśmy tylko chleb. Były tam normy, bodajże 0,5 kg na dorosłego a 0,25 kg na dziecko, które było na utrzymaniu starszych. Resztę pożywienia trzeba było zdobywać poprzez wymianę rzeczy w okolicznych kołchozach. /.../

Z mojego transportu na tej fermie było 10 rodzin. Myśmy tam byli jedyną polską rodziną, reszta to byli Litwini, którzy przywieźli ze sobą z Litwy ten nacjonalizm, wielki szowinizm i generalnie wielką nienawiść do Polski. Potem, gdy te rodziny zbiedniały, gdy głód zaczął dokuczać coraz bardziej, o tych nacjonalizmach zapomniano, to wszystko wywietrzało. Głód i kłopoty z wyżywieniem nas zrównały. Często dzieliśmy się nawzajem zdobyczami z kołchozów, pochodzącymi z wymiany własnych rzeczy.

W szkole, w której mieszkaliśmy, dwie sale zajmowali zesłańcy a w trzeciej odbywały się na dwie zmiany lekcje. Myśmy też uczęszczali do tej szkoły, pierwsza nasza nauka rosyjskiego odbywała się właśnie tam, w tej początkowej, czteroklasowej szkole.

Tam zmarła moja matka, to był pierwszy przypadek śmierci. Była bardzo

schorowana. Cierpiała na obrzodzenie całego ciała i z tym już wyjechała z domu. Innych przypadków śmiertelnych na tej fermie nie pamiętam.

18 sierpnia 42 roku zostaliśmy na rozkaz NKWD przesiedleni. Zabrani, załadowani na podwozy - ale nie wszyscy. Niektóre rodziny, na prośbę zarządu sowchozu, zostały pozostawione jako siła robocza, ni niezbędna do utrzymania tego gospodarstwa. Była wojna, to było tuż przed Stalingradem. Wszyscy mężczyźni, Rosjanie, odeszli na front. Przed naszym wywiezieniem zaczęło się pojawiać w tym sowchozie coraz więcej Niemców zewożzańskich. Pamiętam, że ich transporty przyjechały jesienią 41 lub wiosną 42 roku. Kilka ich rodzin było nawet na naszej fermie. Również zaczęła się pojawiać inteligencja sowiecka z Leningradu. Np. pamiętam taką agitatorkę, bardzo zagorzałą komunistkę, która wygłaszała odczyty w polu, pracującym ludziom, oczywiście na tematy marksizmu-leninizmu. W tym celu właśnie była delegowana do tego sowchozu jako ewakuowana z Leningradu. ~~xx~~

Transport odbywał się z powrotem do Bijska, jako najbliższej stacji kolejowej. Z Czeremszańskiej Fermi do Bijska było około 150 km. Całą tą drogę trzeba było odbyć kołmi, z tym, że dorosłym nie pozwolono siedzieć na wozy. Na swoich rzeczach mieli prawo siedzieć tylko chorzy i dzieci. Ja dużą część drogi - jako 10-letni chłopiec - odbyłem pieszo. Nasze trzy ciotki również szły na piechotę. W Bijsku wyładowano nasze rzeczy na stacji kolejowej, pod gołym niebem i kazano czekać na wagony. Te wagony bardzo długo się nie pojawiały. Pamiętam, że około dwóch tygodni przebywaliśmy w tym mieście, w oczekiwaniu na transport. Widzieliśmy wagony podstawiane Polakom, którzy jechali do armii Andersa, lecz niestety nie udało się nam tam dostać. Po ok. 2 tygodniach zostaliśmy niesamowicie zagęszczeni w wagonach. O ile do Altajskiego Kraju jechaliśmy po 25 osób w wagonie, to teraz było nas w wagonach po 50 osób. Spaliśmy jak śledzie w boczce, nie można było się odwrócić na drugi bok. Oczywiście różne nieczystości

czy robactwo najrozmaitsze zaraz się do nas przyczepiło. Jechaliśmy najpierw na północ, do Nowosybirsku, potem nasz transport skierował się na wschód. Niektórzy żartowali, że przekazują nas Amerykanom, bo Amerykanie w tym czasie byli już sojusznikami.

Na niektórych stacjach były obowiązkowe wyjścia do odwieszalni, bani - takiej przemysłowej łaźni, która była zmechanizowana i przez którą przechodził tłum ludzi. Pamiętam taką łaźnię w Krasnojarsku.

/.../ Jechaliśmy dalej na wschód, oczywiście z dużymi postojami, minęliśmy Krasnojarsk, Kansk, Tajszet i wreszcie nie dojeżdżając Irkucką zostaliśmy wyładowani na stacji Czeremchowo, zupełnie niespodziewanie, na bocznicy kolejowej, która była doprowadzona nad rzekę Angarę. Kazano nam się szybko wyładować, bo statek czeka. Tego samego wieczora musieliśmy w dużym pośpiechu przenosić swoje rzeczy na przystań rzeczną. Tam podpłynął ogromny statek, kilkukondygnacyjny. /.../ Popłynęliśmy nim w dół rzeki Angary, do miejscowości Zajarsk, położonej naprzeciwko Bracka. Z miejscowości Zajarsk jest zbudowana szosa do źródeł rzeki Leny. Tam zostaliśmy załadowani na ciężarówki i jechaliśmy całą dobę do miejscowości Osietrowo, obok miejscowości Ustkut nad Leną, gdzie znów była duża przystań.

Przerzucano tam ludzi i towary w obie strony, ludźmi, którzy jechali w odwrotną stronę byli poborowi, ogromne grupy mężczyzn. Widzieliśmy to, bo nad Leną czekaliśmy znów tydzień czy też dłużej. /.../ Mieszkaliśmy w jakiejś szkole, w wielkim tłoku, ale nasze rzeczy były na brzegu rzeki, koło przystani i ktoś z rodziny musiał zawsze dyżurować przy tych rzeczach, bo kradzieże tam były niesamowite. W Bijsku dołączono do nas inne rodziny i było tam parę polskich rodzin, już nie byliśmy tak osamotnieni jako Polacy. Większość nadal stanowili Litwini. Te polskie rodziny również pochodziły z Litwy kowieńskiej, Polaków z Polski tam nie spotkaliśmy.

Po tym tygodniowym - czy dwutygodniowym - oczekiwaniu w tym Osietrowie zostaliśmy załadowani na barki towarowe, ciągnięte przez statek

parowy i płynęliśmy tymi barkami do miejscowości Witim na północnym brzegu Leny, przy ujściu rzeki o tej samej nazwie - Witim. Tam zostaliśmy przeładowani na statek osobowy, parowy. Duży statek, nazywał się "Moskwa" i nim płynęliśmy dalej w dół rzeki do miejscowości Sosnowy Bór. Sosnowy Bór leży ok. 200 - 300 km powyżej ujścia rzeki Olekmy, już w Jakuckiej Republice. Tam zostaliśmy wyładowani w tzw. posiołku lespromchoz - lesnej promysnyj uczastok, czyli osiedle specjalnie zbudowane dla wyrębu lasu. W tej miejscowości zostawała część rodzin. Musieli się wkupić przez łapówki dla miejscowych władz, dla miejscowego dyrektora, żeby nie jechać dalej, bo przez pomyłkę wysadzono w Sosnowym Borze wszystkich, chociaż powinniśmy być wysadzani wzdłuż rzeki Leny na takich uczastkach, posiołkach. Ponieważ my nie mieliśmy za co się wkupić, zostaliśmy przeznaczeni do tej partii, która miała płynąć dalej, do dalszych osiedli leśnych. I znów trwało oczekiwanie na transport. Mieszkaliśmy w jakichś barakach. Zbliżała się już zima, było to około połowy października - 12-13.X. - a w tamtej szerokości geograficznej o tej porze już zaczyna się zima. Mrozy dochodziły do 5 - 10 stopni, zaczął padać śnieg, wszystkie statki płynęły w górę rzeki, w dół nie płynęło nic. Miejscowe władze były w poważnym kłopotcie, bo nie wiedziały jak nas wysłać. Ale rozkaz jest rozkazem, musi być wykonany. Dyscyplina w tym czasie obowiązywała bardzo surowa. Wreszcie załadowano nas na płynące w dół rzeki tratwy. Miały one daszki i nieco obudowane boki, pośrodku takiej tratwy było jedno lub dwa paleniska. Jedna z tych tratw była załadowana workami z mąką a druga była przeznaczona dla ludzi. Nas załadowano właśnie do tej drugiej. Pamiętam dokładnie: 67 osoby były na tej tratwie. Tłok był straszny, ale tratwa nie tonęła bo było kilka rzędów bierwion. Te dwie tratwy były ciągnięte przez motorówkę. Jechaliśmy cztery dni. Podróż przedłużyła się o dwie doby z powodu mrozów. Wieczorem przystawaliśmy u brzegu, w nocy nie można było płynąć - była już taka duża kora na rzece, dosłownie pochód lodów. Rano trzeba się było odrąbywać

bo tratwy przymarzały do brzegu. Dopiero gdzieś koło południa ruszaliśmy dalej. Dlatego jechaliśmy dwa razy dłużej, a prowiant mieliśmy wydany tylko na dwa dni. Całe szczęście, że te worki z mąką jechały z nami i można było przejść z jednej tratwy na drugą. Na tej drugiej tratwie, wśród worków z mąką, jechał nasz "przewodnik" - oficer NKWD, który miał obowiązek nam towarzyszyć. Podjął on niezwykle odważną decyzję, jak na tamte czasy i warunki, każąc głodującym ludziom wydać mąkę. Oczywiście nie było soli, ale i tak smakowało nam bardzo. Po czterech dobach dopłynęliśmy do miasta Olekmińsk. Jest to rejonowe miasto w Jakuckiej Republice Autonomicznej. Tam mieliśmy przystanąć. W tej czwartej dobie /naszej podróży/ pochód lodów był tak silny, że nasze tratwy nie mogły się zatrzymać przy brzegu. Motorówka nas porzuciła, nie wiem z jakich względów, tratwy płynęły same, niesione przez prąd i przez lody. Lód co pewien czas ścisnął tratwy, co wywoływało panikę wśród ludzi. Na mieliznach, które tam występowały dość licznie, widzieliśmy jak lody się spiętrzają z ogromną siłą, to już były ogromne bryły, grubości kilkunastu czy kilkadziesiątu centymetrów. Tratwa z łatwością więc mogła być zniszczona przez lody. Na szczęście nasze krzyki i wołania zauważył ktoś z brzegu. Był to przytomny człowiek. Conił nas biegiem wzdłuż brzegu, bo prąd był silny, niosąc stalową linę. Dogonił naszą tratwę i rzucił nam jeden koniec liny. Drugi umocował gdzieś tam na brzegu, za jakąś dużą kłodę, która tam leżała. Najpierw była wielka radość, bo tratwa się zatrzymała. Wszyscy się rzucili do wyjścia, powstał wielki tłok. Niektórzy rzucali swoje rzeczy: pierzyny, worki - wszystko było w workach, walizki dawno wymienione w kołchozach na ziemniaki - to wszystko leciało na brzeg. W pewnym momencie tratwa znów ruszyła, bo napór lodów był tak silny, że kłoda, do której była przywiązana lina, potoczyła się. Na szczęście po kilku czy kilkunastu metrach tratwa stanęła już na stałe i wszyscy mogliśmy wyładować się z niej na brzeg. To był już późny wieczór. Noco-

waliśmy na brzegu rzeki, mróz dochodził do 20 stopni. Mieliśmy jeszcze pierzyny, więc ciotki ulokowały nas, dzieci, w nich. Gdy rano się obudziliśmy, trochę zmerznięci, to byliśmy przykryci śniegiem, spod którego trzeba nas było wygrzebać.

Potem zima 42/43 - po tej wyprawie kilka osób z naszej rodziny poszło do szpitala, trzeba ją było odchorować. Były różne komplikacje zdrowotne. Mieszkaliśmy w pokoju zarządu gospodarstwa leśnego, w samym miasteczku Olekmińsk. Ludzie zdolni do pracy byli wysyłani do rąbania i piłowania drzewa na brzegu rzeki. Niektóre tratwy, przymarznęte w okresie jesiennym, trzeba było wyrąbywać z lodu, podnosić te kłody i piłować je naopak. To była praca zbyt ciężka dla kobiet, zdecydowanie przeważających wśród zesłańców. Była to robota ponad siły, w warunkach strasznego mrozu, dochodzącego tam do 50-60 stopni. Największy mróz jaki tam pamiętam to -62 stopnie. Wówczas nic już nie widać, jest mgła, widoczność jedynie na kilka kroków. Chodzi się z zawiązanym szalikiem, czapka na uszy, tylko mała szparka na oczy, nos jest również zawiązany szalikiem. Wątowana kurtka, wątowane spodnie i tzw. walonki - czyli wołjoki twarde, z dużymi onucami - bo inaczej nogi zmerzną i można je odmrozić. Oczywiście do tego muszą być podwójne rękawice albo rękawice futrzane.

W Olekmińsku przetrwaliśmy aż do roku 47. Najgorsze lata to był rok 43 - 44, gdy nie było jeszcze pomocy z zewnątrz. Ta pomoc zaczęła się pojawiać w postaci tzw. "lend-lease'u". Transporty szły w górę rzeki Leny, masło amerykańskie, mąka amerykańska, cukier amerykański. Produkty te wydzielano nam na kartki, w małych ilościach. Mniej więcej 0,5 kg masła na pracującego na I miesiąc. Dla dzieci to było 10 deko masła miesięcznie. Cukier też w ilości 0,5 kg na osobę pracującą, ile dla dzieci już nie pamiętam. Zdaje mi się, że dla dzieci były cukierki. W miarę zbliżania się do końca wojny było trochę więcej tej żywności. Chleb - 0,5 kg dla pracują-

jącego i 20 deko dla niepracujących /dziennie/. Głód był potworny. Nasze ciotki, z uwagi na stan zdrowia, zostały zwolnione z przemysłu leśnego. Mogły przejść do tzw. spółdzielni - to się tam nazywa ertel - inwalidów. Jedną z naszych ciotek zmarła zanim została zwolniona z przemysłu leśnego. One cały czas pracowały nad rzeką, przy wyrąbaniu tych kłód z lodu i pilowaniu ich na opał. Jedną z nich tego nie wytrzymała i zmarła w czerwcu 1943 roku. Druga przeszła na inwalidztwo i wówczas, z kartą inwalidzką, została zwolniona z przemysłu leśnego. Pracowała wtedy już w pomieszczeniu zamkniętym, w ciepłe, jako szewc. Głównie naprawiała te twarde wojski, które tam są absolutnie niezbędne. Tam pracowała do jesieni 46 roku, kiedy to zmarła na wylew krwi do mózgu. To też stało się przy pilowaniu drewna, tyle, że nie dla państwa a dla siebie, na zimę, gdy pojechaliśmy nad rzekę aby pociąć kłody, które zakupiliśmy w tym celu. Zostaliśmy sami, troje dzieci, z jedną ciotką, inwalidką, która nie mogła pracować. Z opiekowała się nami zupełnie obca osoba, zaprzyjaźniona Litwinka, spośród tych, które były wraz z nami wywiezione. To była osoba mówiąca dobrze po polsku, była prawdopodobnie Polką, tyle, że została przez reżim litewski zlitwinizowaną i formalnie uchodziła za Litwinkę. Od 45 roku otrzymywaliśmy pomoc od ojca, który się odnalazł. Jak wspominałem, był on w więzieniu, gdy nas wywożono. Kiedy w tydzień po naszym aresztowaniu rozpoczęła się wojna sowiecko-niemiecka, więzienie w Mariampolu zostało ostrzelane. Straże uciekły, więźniów nie zdążono zabrać ani zlikwidować i wyszli oni na wolność. Ojciec wędrował te kilkadziesiąt kilometrów do swego domu na piechotę. Gdy przyszedł, to nas już nie zastał. Ale został tam i gospodarzył przez cały okres wojny. Przed wyjazdem do Polski sprzedawał co mógł z gospodarstwa i wysyłał nam pieniądze. Paczek nie otrzymywaliśmy. Dzięki temu mieliśmy trochę pieniędzy i mogliśmy kupować chleb na czarnym rynku. /.../ Pamiętam, że gdy otrzymaliśmy pierwszy przelew od ojca, to kupiliśmy dużo chleba i najedliśmy się do syta. To była największa

sza frajda. Ojciec wyjechał z Litwy do Polski w kwietniu 46 roku. Pomoc przestała napływać. Mieliśmy tych pieniędzy od ojca jeszcze tyle, że w roku 47, po śmierci naszej drugiej ciotki, zaczęliśmy myśleć o wyjeździe stamtąd. Zdarzały się takie okazje, że Litwini wracali nielegalnie, czyli uciekali z zesłania, na Litwę. Tej pani, która się nami opiekowała, doradzono aby mając pieniądze - wysłać dzieci. Ona też chciała się od nas uwolnić, a była bardzo obowiązkowa. Uważała za swój obowiązek opiekować się nami. Wówczas ta pani porozumiała się z naszym ojcem, który już był w Polsce. Ojciec wyraził zgodę na nasz wyjazd, podał adresy w stronach rodzinnych.

Myśmy nielegalnie, zdobywszy bilety lotnicze - w tym miasteczku było lotnisko, na którym lądowały samoloty lecące z Czukotki, inaczej mówiąc z Kołymy, do Irkucka - opuścili zesłanie. Poprzez znajomości, poprzez inną panią, Litwinę, która znała lotników często u niej bywających - a to była najzamożniejsza kasta ludzi tam - przez nich zdobyła nam dwa bilety. Te pieniądze, które mieliśmy starczyły tylko dla mnie i dla mojej starszej siostry, dla młodszej siostry już ich nie starczyło. W momencie, gdy bilety zostały zakupione, w nocy, wynajętym konikiem, cichaczem, wyjechaliśmy na lotnisko. Tam zostaliśmy ulokowani przez miejscowego pracownika lotniska, który te bilety zdobył, w jakimś barączku. W dzień nie wolno nam było się pokazywać, czekaliśmy na samolot trzy dni. Nie było go tak długo z powodu złej pogody, to lotnisko było trawiaste, nie było tam żadnych pasów betonowych. W trzecim dniu samolot nadleciał. Ten pan przyszedł po nasze worki z sucharami i ze skromnymi naszymi rzeczami. Pamiętam, że mieliśmy puszkę amerykańskiego masła i spory woreczek sucharów na drogę. I każde z nas miało jakąś sumę pieniędzy, przywiązanych w woreczku na piersiach. Jechała z nami pewna starsza pani, do syna, do Kłajpedy. Było to więc towarzystwo trzyosobowe: ja, siostra i ta pani. Ten pracownik lotniska wrzucił nasze rzeczy do samolotu. Myśmy wskoczyli w ostatniej chwili, gdy wszyscy pasażerowie i poczta byli

załadowani do samolotu. Po chwili oderwaliśmy się od ziemi. Wrażenie było niesamowite - taki był lot - lot ku wolności. Lecieliśmy 8 godzin do Irkucka. W Irkucku ładowanie bez żadnych przeszkód, oczywiście sprawdzanie biletów, myśmy mówili świetnie po rosyjsku /.../ Ta pani, Litwinka, miała zły akcent, więc ona milczała cały czas. Myśmy mówili do niej po rosyjsku, ona nam na migi odpowiadała. Zostaliśmy przewiezieni ciężarówką na dworzec kolejowy. /.../ Na dworcu kolejowym był ogromny tłok, mnóstwo podróżujących ludzi. Hol cały wypełniony ludźmi, siedzącymi na workach, śpiącymi na siedzącym, bo nie było gdzie się położyć. Wszyscy oczekiwali na pociąg. Po rozeznaniu sprawy kupiliśmy bilety do Czelabińska, z miejscami siedzącymi tylko, i przez tydzień jechaliśmy pociągiem do tego miasta, na siedząco. Żywiliśmy się sucharami, kapiatok był - nic nam więcej nie było potrzebne. /.../ Celem naszym była Moskwa, ambasada polska w Moskwie, bo mieliśmy dokumenty od ojca. Spodziewaliśmy się, że stamtąd nas wyślą wprost do ojca, jak to dzieci myślą - zapakują do pociągu czy samolotu i wyślą do ojca. Po 9 dniach podróży pociągiem dojechaliśmy do Moskwy. Daliśmy się tam nabrać jakiemuś spryciarzowi, który wziął od nas 100 rubli za przewiezienie metrem z jednego końca miasta na drugi. Wylądowaliśmy na Dworcu Białoruskim, bo orientowaliśmy się, że to kierunek na Wilno. Mieliśmy obowiązek tam właśnie dostarczyć tę starszą panią. Kupiliśmy jej bilet do Kłajpedy i tam się z nią rozstaliśmy. Zostaliśmy sami z siostrą, na tym dworcu, po to żeby szukać polskiej ambasady. Szukaliśmy jej trzy dni. Na trzeci dzień poszedłem o świcie, siostrę zostawiłem jeszcze śpiącą na dworcu, szukać pytając o ulicę Tołstoja - a są tam dwie, Aleksieja i Lwa. Wreszcie znalazłem ulicę Aleksieja Tołstoja nr 30 i zobaczyłem, po raz pierwszy po tylu latach, orka na gmachu. Wiedziałem już, że to polska ambasada, więc szybko wróciłem po siostrę na dworzec, zabrałem ją i powróciliśmy do ambasady. Po przyjeździe zostaliśmy przyjęci przez kierowniczkę

wydziału personalnego, p. Wandy Michalewską. To były pierwsze dni października 47 roku. P. Michalewska wypytuje nas - co? jak? skąd? wielkie zdziwienie * - Z Jakucji? Polacy? To było dla nich zaskoczenie. Wypyтали nas dokładnie i p. Michalewska zabrała nasze dokumenty. A były one następujące: moja legitymacja uczniowska i tymczasowy dowód osobisty mojej siostry, bez wymeldowania stamtąd /z Olekmińska/. Żadnych zezwoleń nie posiadaliśmy. Kazą nam przyjść po południu i nic więcej nam nie powiedziała. Jak się potem okazało, pojechała z tymi naszymi dokumentami do władz radzieckich. Łatwo się domyślić do jakich władz. Władze te, prawdopodobnie, powiedziały jej, że musimy wracać z powrotem. To było największe uderzenie obuchem po głowie. Myśmy byli w tak strasznej euforii, byliśmy nastawieni tak radośnie, że dotarliśmy do celu, wszystko osiągnęliśmy zgodnie z zamierzeniami. Sądziłyśmy, że już niewiele pozostało, tylko przeskoczyć granicę i znaleźć się u ojca. A tutaj ogromna depresja - musicie wracać z powrotem! Ale jak?!? Ja tam zrobiłem awanturę, w pewnym momencie zacząłem nawet walić kulakiem w stół. A ona nic nie rozumiała: że rzeka jest już zamrznięta, że tam z powrotem dojechać nie można. Ona jakby się uśmiechała i powiada: "-My wam zamówimy bilety". Tu już mnie szlag trafił - "My wam zamówimy bilety" - pomyślałem, że nas aresztują i pod przymusem odwiozą z powrotem. Pani Michalewska do końca nie uwierzyła, że tam praktycznie nie ma dojazdu. Skończyło się na tym, że w pewnym momencie powiedziałem, iż pojedziemy na Litwę, pod adres wskazany przez ojca, do naszych znajomych. Ona się tego uchwyciła. Powiedziała: "Dobrze, jedźcie. Bądźcie w kontakcie z nami. Ja was wpisuję na listę polskich dzieci, które zaginęły w czasie wojny". Dała nam zapomogę, po 1000 rubli, tych starych i ubranie - pofarbowane mundury angielskie, prawdopodobnie jeszcze z zapasów po Andersie. Długo jeszcze chodziłem po Wilnie w tym angielskim mundurze, zafarbowanym na ciemny kolor. /.../ Ubranie to było bardzo dobre i dla takich

oberwalców jak my - była to wręcz rozkosz ubrać się tak elegancko. /.../ Potem otrzymaliśmy skierowanie do hotelu ambasady polskiej, w tzw. "Willi Szczęścia" w Michałowie, gdzie przebywał Berling ze swymi kolegami. P. Michalewska przydzieliła nam polskiego Żyda, który przyjechał szukać swojej zagubionej w ZSRR córki, znalazł ją gdzieś na Ukrainie i widział już do Polski. Poprosiła tego pana, żeby spisał nasze życiorysy i pomógł nam napisać podanie. Myśmy to złożyli w ambasadzie i na tej podstawie, prawdopodobnie, zostaliśmy wpisani na listę polskich dzieci, co później bardzo nam pomogło. Oczywiście wciągnęliśmy na nią również młodszą siostrę. Potem okazało się, że na tej liście figurujemy tylko we dwoje: ja i młodszą siostrą. Starsza siostra w momencie przyjazdu do ambasady miała ponad 18 lat i nie mogła być na nią wpisana. Pojechaliśmy razem z siostrą do Wilna i tam mieszkaliśmy, co pewien czas korespondując z ambasadą. Ja pojechałem jeszcze powtórnie do Moskwy, przed Świętami w 1947 i akurat trefiłem, przypadkowo, na wymianę pieniędzy. Otrzymałem w ambasadzie zapomogę na siebie i na obie siostry w nowych rublach. Za stare ruble nie mógłbym nawet wrócić bo wymiana była w relacji 1 za 10. /.../ Tę część młodszej siostry wysłałem od razu do Olekmińska, ponieważ ona dalej tam mieszkała z naszą opiekunką i ostatnią z ciotek. Wróciła w podobny do nas sposób dopiero w styczniu 49 roku. Korzystała z pomocy tego lotnika, który kupił nam niegdyś bilety a wówczas jechał do Leningradu na wczasy do swojej rodziny. Ona jechała razem z nim, spotkałem ją w Moskwie. Byłem wtedy po raz trzeci w ambasadzie polskiej - było to bodajże 9.I.49 r. Znowu dostaliśmy ubranie i zapomogę, lecz p. Wandy Michalewskiej nie zastałem. Przyjechała mnie w konsulacie p. Górska. Zostałem bardzo uprzejmie przez nią potraktowany i powróciłem z młodszą siostrą do Wilna. Tam przekazałem ją wujowi, którego w międzyczasie odnaleźliśmy. /.../

Po tej udanej ucieczce z Syberii byliśmy dwukrotnie z siostrą

aresztowani w Wilnie. Po raz pierwszy, gdy poszliśmy do tzw. OWIRu - Oddział Wiz i Rejestracji - przy ul. Sierakowskiego w Wilnie, po to aby uzyskać zezwolenie na wyjazd do ojca. Tak nam zalecono w polskiej ambasadzie. /.../ Poszliśmy tam i od razu nas spytano: "-A zezwolenia u was jest?". Odpowiedzieliśmy, że żadne zezwolenia nie było potrzebne, wsiedliśmy na statek i przypłynęliśmy do Irkucka a dalej pojechaliśmy koleją. W tym momencie przekazano nas do jakiegoś działu politycznego, do innego pokoju, do innego pułkownika, który wezwał milicjanta. Odprowadzili nas do miejskiej milicji koło dyrekcji kolejowej w Wilnie. Zaczęto tam śledztwo. Najpierw zeznawała moja siostra, która była bardzo przerażona tym aresztowaniem i przetrzymaniem przez cały dzień na milicji - to już odbywało się późnym wieczorem. Nic nie powiedziała o tym, że byliśmy w ambasadzie polskiej, gdzie zostaliśmy wpisani na listę polskich dzieci. Dopiero gdy ja zaczęłam zeznawać to powiedziałam, że byliśmy w ambasadzie, jesteśmy wpisani na listę i spodziewamy się wyjazdu do ojca. Na milicji pokazaliśmy dokumenty, które mieliśmy od ojca, uwierzytelnione przez radziecką ambasadę w Warszawie. Milicja te dokumenty zabrała. Po przejrzaniu naszych zeznań, późnym wieczorem, wypuszczono nas, zatrzymując dowody osobiste i legitymacje szkolne. Kazano mi przychodzić codziennie, dowiadywać się o sprawę. Po kilku dniach codziennego chodzenia na milicję polecono mi przychodzić raz na kilka dni, potem raz w tygodniu. Dalej dowodów osobistych ani legitymacji uczniowskich nie mieliśmy. Wreszcie zbliżał się okres wyborów do tamtejszych rad narodowych. Poszedłem na milicję i oświadczyłem, że potrzebujemy dowody osobiste, bo chcemy głosować. Oni się roześmieli, pamiętam, że był kapitan i ktoś jeszcze w tym pokoju, i powiedzieli: "- Ty umnyj synok!" Oddali dowód osobisty mój i siostry, zatrzymując legitymacje szkolne. Na tym skończyło się pierwsze aresztowanie. Więcej już tam nie chodziłem. Było to około 20.XII. 1948 r. /.../

Drugie aresztowanie było w kilka miesięcy później. Zabranó mnie i siostrę z ławki szkolnej na skutek donosu jakiegoś Litwina, myśmy ~~xxxx~~ nawet podejrzewali, kto to jest. W tym czasie były aresztowania Litwinów, którzy wrócili też nielegalnie z zesłania. Wszyscy oni zostali aresztowani, skazani na 2 lata więzienia i wysłani do poprzedniego miejsca pobytu na zesłaniu. Nas to ominęło, gdyż po wędrówkach po dzielnicowych komisariatach trafiliśmy do tego miejsca, w którym byliśmy za pierwszym razem. Widocznie to był jakiś wydział polityczny. Tam od razu spytano: "A cóż ty tutaj robisz? Z zaraz pójdziesz do domu, zaraz waszą sprawę wyjaśnimy." Ale to "zaraz" trwało cały dzień, dopiero wieczorem nas zwolniono i powiedziano, że oczekują na odpowiedź w naszej sprawie. Zapowiedziano nam, że gdybyśmy chcieli gdzieś wyjechać lub zmienić miejsce zamieszkania, to musimy im to zgłosić. /.../ Na tym smę skończyło. Dopiero w 52 roku zadziałała liście polskich dzieci. Moja młodsza siostra, zamieszkała u wuja w Wilnie, raptem otrzymała zaproszenie do Biura Repatriacji przy rządzie litewskim. Tam jej oświadczone, że następnego dnia wyjeżdża ~~xxxxxxx~~ z transportem do Polski, do ojca. Ja poszedłem również do tego biura i oświadczyłem, iż też byłem na tej liście, dlatego więc nie jadę z tym transportem. Oświadczone mi wówczas, że skończyłem 20 lat i wcale nie jestem dzieckiem. To oczywiście był wybieg, bo istotna była data wpisania na listę a nie mój aktualny wiek. W ten sposób ja ze starszą siostrą zostaliśmy na Wilenszczyźnie. Siostra po ukończeniu szkoły pracowała w okolicach Święcian i w okolicach Wilna. Ja natomiast przez rok pracowałem w Wilnie a potem musiałem pójść do wojska. Miałem do wyboru pójście do wojska albo na wyższą uczelnię. Skorzystałem z tej drugiej możliwości i zacząłem studiować. Studia te trwały 5 lat. W ich trakcie musiałem się przenieść z jednej uczelni na drugą. Uzyskałem dyplom i to się zbiegło z drugą repatriacją, tzw. gomulkową. W 1957 roku przyjechałem do Polski. Siostra

przyjechała do Polski w 1965 r. na moje zaproszenie. Ostatnia nasza ciotka wróciła z zesłania na Litwę w 55 r. Tam się opiekowała swą byłą nauczycielką aż do jej śmierci. Potem gdzieś pracowała. Miała jeszcze jedną siostrę w Polsce /.../. Przyjechała do niej na czasowy pobyt, a ponieważ siostra była ciężko chora na raka więc ambasada radziecka zgodziła się na to aby ciotka ubiegała się z Polski o zezwolenie na stały pobyt. Już z Polski nie wyjechała.

Wrocław, 9.V.1988 r.